

Ekstremum czasu

Kiedy widzimy, że jakiś reżyser przenosi na deski teatralne powieść, pojawia się jakiś rodzaj niedowierzania. Jakkolwiek śmiem twierdzić, że w polskim teatrze niemal niekwestionowanym mistrzem adaptacji powieści jest Krystian Lupa, który w Narodowym Starym Teatrze przedstawiał Bernharda. Reżyser Michał Siegoczyński podjął próbę przeniesienia klasyki polskiej powieści „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej na scenę. Niemożliwe? A jednak.

Na proscenium widzimy trzy kolorowe dywany, które nachodzą na siebie, tworząc mozaikową kompozycję, podobną do prostokątów pól. W głębi sceny widzimy duże, oszklone pomieszczenie na podwyższeniu. Przypomina ono zarówno salon ekskluzywnie urządzonego domu, jak i ogródek restauracji. Pod horyzontem z prawej strony z tyłu sceny zobaczymy jeszcze siano i narzędzia gospodarskie, co jednoznacznie kojarzy się ze stodołą i klimatem wsi. Scenografia Michała Dobruckiego sugeruje przenikanie światów. Przez cały spektakl miasto i wieś będą musiały współistnieć ze sobą.

Spektakl „Noce i dnie, czyli między życiem a śmiercią” (bo tak brzmi jego właściwy tytuł) jest w gruncie rzeczy inspirowany powieścią Marii Dąbrowskiej i ma formę kalejdoskopu wspomnień Barbary (genialna Julia Szczepańska). Są to jakby fragmenty zdarzeń, które utkwiły Barbarze gdzieś na końcach jej synaps. Niezwykle przypomina mi to „Synapsy Marii H.” autorstwa Hanny Krall, które też są zbiorem krótkich szkiców przeszłych wydarzeń, odcisniętych mocno w pamięci.

„Noce i dnie” to kolorowa i bardzo rozbudowana, ale przede wszystkim precyzyjnie ułożona mozaika strzępów opowieści, które wzajemnie siebie komentują. Sceny są krótkie, wręcz nagłe – wymagają czujności i skupienia widza. Zestawiane są też często na zasadzie kontrastu (np. broszka jako prezent i bardziej współczesna forma prezentu na Dzień Kobiet w formie tańca erotycznego).

W spektaklu jest wręcz nieprawdopodobnie dużo zmian światła (reżyseria światła: Michał Głazczka) i muzyki (opracowanie muzyczne: Kamil Pater): wymaga jej każda krótka sekwencja sceniczna. Jestem pod wielkim wrażeniem pracy, jaką przy tym spektaklu wykonuje zespół techniczny. Same sceny są treściwe, konkretne, bardzo intensywne – nie uświadczymy tu dłużyń, a wręcz przeciwnie: zanim zdążymy na dobre wczuć się w emocje bohaterów, nastąpi błyskawiczna zmiana. Muzyka jest najczęściej żartobliwym komentarzem do kolejnych scen.

Mimo tego jednak, że widowisko pomyślane jest jako śmieszne, z dużą dawką inteligentnego poczucia humoru, to szybko orientujemy się, że jest to humor czarny. Ze sceny wylewają się niebywałe wręcz ilości ironii, pastiszu i bezpardonowej kpiny. Życie jawi się jako ciąg absurdalnych zdarzeń, które urastają do rangi karykatur codzienności lub (nie przymierzając) memów, z których śmiejemy się na co dzień. Wyśmiana jest konwencja, dotycząca każdej niemal dziedziny życia: dzieciństwo, śmierć, miłość, zaloty, małżeństwo (z rozsądku). Na scenie widzimy przerażająco wręcz aktualne klisze, dotyczące relacji międzyludzkich. Choć wiemy, że „bohaterowie tej sceny przeminęli”, to właściwie niewiele się zmieniło w gąszczu społecznych powiązań i koligacji.

Oglądamy obrazy, które zostały Barbarze w pamięci. Jednak są one jej jedynym i niepowtarzalnym uniwersum, tworzącym podstawy jej egzystencji, a także ją zagarniającym. „Noce i dnie” są krajobrazem pamięci. Niedoskonałym, ale ogarniającym całość życia głównej postaci, tak jak opanowują każdy zakamarek teatru. Postaci wychodzą z foyer, z kulis, pojawiają się na balkonach. Nie ma drzwi, za którymi nagle nie stanąłby ktoś bliski. Choć na chwilę nie zabrał czasu. Tak jak z wielu przeżytych tytułowych „Nocy i dni” najważniejszych jest kilka, tak z całej powieści wybrano najważniejsze wątki. Bohaterowie na scenie otrzymują większą lub mniejszą ilość głosu, „czasu scenicznego”. Niektórym odebrano prawo szerszego opowiedzenia o sobie, o czym nie omieszkają głośno powiedzieć. Każdy jest dla kogoś statystą, a dla kogoś innego główną postacią.

Nie da się uciec od porównania z ikonicznym wręcz filmem „Noce i dnie” w reż. Jerzego Antczaka. W filmie, tak samo jak w spektaklu, znalazły się nawet te same sceny, jak np. zbieranie nenufarów przez Tolibowskiego, który wciąż powraca we wspomnieniach Barbary jako jej wielka, niespełniona miłość. Jednak w filmie główna bohaterka była o wiele bardziej marudna i nieprzyjemna. W spektaklu charakter jej postaci został znacznie złagodzony. Przez jej pamięć wciąż maszerują grupy znajomych, przyjaciół, rodzina – w mniejszych lub większych grupach zaznaczają swoją obecność, tworząc panoramę arystokratów, zderzoną z życiem mieszkańców wsi. Nie sposób nie wspomnieć tu o kostiumach (autorstwa Sylwestra Krupińskiego), który rzecz potraktował z najwyższą starannością. Stroje aktorów są niezwykle dopracowane i podkreślają ich charakter, a czasem nawiązują do popkultury, jak np. postać rewolucjonisty, który będzie miał w sobie coś z Jamesa Bonda. Spektakl jest przepięknie skomponowany pod każdym względem, a kostiumy dopełniają całości. Jest to tyle istotne, że aktorzy grają po kilka ról i każda z nich jest potraktowana indywidualnie także pod względem ubioru.

Niesamowicie ważną, choć niemą i (teoretycznie) drugoplanową postacią w spektaklu jest... operatorka kamery (nadzwyczajna Ewelina Miąsik). Nad sceną wiszą dwa ekrany, na których niemal non stop podczas całego spektaklu mamy przekaz z kamery. Operatorką jest kobieta, która wykonuje zupełnie niezwykłą robotę: dzięki niej na ekranie widzimy świetne wykorzystanie tego narzędzia do zbliżeń filmowych. Z poziomu widowni nie jesteśmy w stanie zobaczyć niuansów emocjonalnych na twarzy aktorów. Szczególnie, jeśli akcja dzieje się w głębi sceny. To, co widzimy na ekranach jeszcze rozszerza kontekst przeżyć danej postaci. Widzimy każde drgnięcie na twarzy, mrugnięcie okiem. Jest to też trochę pokazanie świata w stylu dzisiejszych celebrytów, dla których social media są głównym przekazem emocji, często w formie krótszych lub dłuższych filmików.

Na ekranie widzimy również co jakiś czas napisy, które są tytułami niektórych scen/rozdziałów życia Barbary. Napisami na ekranie anonsowane jest również pojawienie się Marii Dąbrowskiej (świetna Matylda Podfilipska) we własnej osobie. Ona jako autorka wkracza na scenę trochę jak Tadeusz Kantor podczas swoich spektakli: niby jej nie widać, ale gdzieś tam cały czas jest i wiemy, że to z jej zamysłu/ inspiracji ostatecznie powstało wszystko, co widzimy na scenie. To, oczywiście, również ironia, ale uroczy komizm i swoista nieporadność jej postaci sprawia, że jej wejścia przyjmowane są przez widownię z wyraźną sympatią.

Wyświetlane tytuły scen przypominają trochę jak nieco naiwne tytuły obrazów. Można odnieść wrażenie, że w najprostszy sposób próbują ujmować i tłumaczyć świat, który widzimy. Obojętnie czy za chwilę zobaczymy kliszę z Jamesa Bonda, filmów gangsterskich czy będziemy pokładać się ze śmiechu, obserwując konwencjonalny spacer bohaterów szpalerem z parasolkami. Wyrazy najwyższego uznania należą się wszystkim twórcom, w tym

całemu zespołowi aktorskiemu, który wykonał niezwykłą pracę, niech więc szczerze wyrazi uznania przyjmą: Małgorzata Abramowicz, Ada Dec, Maria Kierzkowska, Karina Krzywicka, Matylda Podfilipska, Julia Sobiesiak-Borucka, Mirosława Sobik, Julia Szczepańska, Przemysław Chojęta, Mikołaj Śliwa (gościnnie), Igor Tajchman (gościnnie), Paweł Tchórzelski, Michał Ubysz, Arkadiusz Walesiak, Grzegorz Wiśniewski.

Głównym motywem „Nocy i dni” w reż. Michała Siegoczyńskiego wydaje się czas i jego upływ. Pamięć, która wskrzesza tylko część tego, co się przeżyło. Pamięć, która jest nielinearna i wybiórcza, wychodzi nieco naprzeciw czasowi i próbuje go dopasować do siebie. Do tego podkreślony jest absurd istnienia w postaci celnego wyśmiania społecznych klisz, w stylu „Dnia świra” w reż. Marka Koterskiego. Moment śmiechu jest również chwilą refleksji, ponieważ śmiech ostatecznie zamiera na ustach. Staje się gorzki.

Spektakl ma trzy części. Początek jest niezwykle radosny, lekki, mnóstwo tu scen zbiorowych. Potem nadal jest śmiesznie, jednak coraz szybciej przychodzi refleksja. Każdy jest sam i ostatecznie samotnie musi przeżyć swoje życie. Nawet, jeśli się spotykamy i nasze ścieżki się przecinają. W spektaklu wstawki historyczne są jedynie zasygnalizowane, ponieważ twórcy nie skupiają się tu na wielkiej historii, ale na małych, jednostkowych opowieściach. Czas jednocześnie rozciąga się i kurczy do ekstremum. Czyjeś życie streszczone w nieprawdopodobnie wciągającą historię, opowiedzianą w ciągu trzech godzin, spędzonych w teatrze.

Widowisko totalne, przepiękne – zupełnie oczarowujące pod każdym względem.

Joanna Marcinkowska
Dziennik Teatralny Zielona Góra
10 listopada 2022